

MARGINES

Listopad 2023

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

NAKŁAD WŁASNY

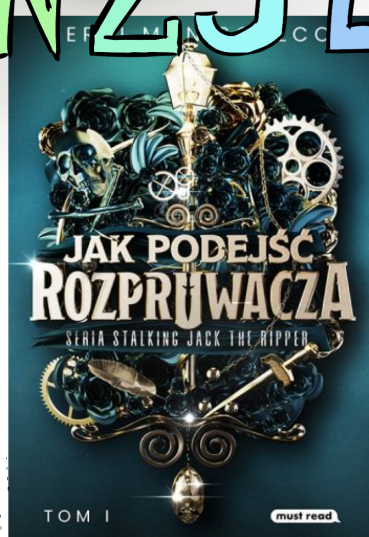
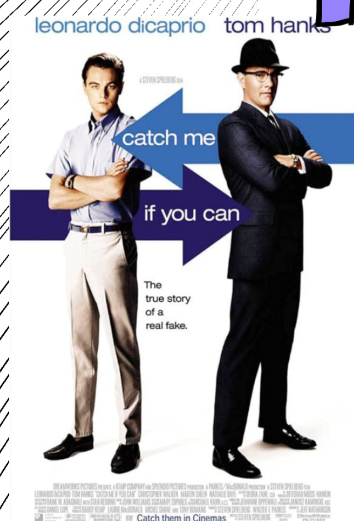
GALAKTYCZNE OPOWIEŚCI

Dlaczego księżyce mają różne ubarwienia?

T-34

Średni na papierze,
słaby w wykonaniu

RECENZJE



W numerze:

- 2 Halloween w ZSŁ
- 2 Koncert Patriotyczny w Filharmonii Krakowskiej: Uczucia i Odkrycia
- 3 Profesjonalista na scenie
- 3 Tabula rasa
- 4 Kącik historyczny: Średni w teorii, słaby w wykonaniu – T-34
- 5 O upadku języka słów kilka
- 6 OZWM część 3
- 7 Łączność z duchami
- 7 „Złap mnie, jeśli potrafisz – recenzja filmu”
- 8 Sieć
- 8 Recenzja filmu „FNAF”, czyli opinia napisana z dwóch perspektyw
- 9 Horn in the World
- 9 „Jak podejść Rozpruwacza” Kerri Maniscalco – recenzja
- 10 Twój wybór
- 10 Galaktyczne powieści - odcinek 1 - „Księżycy”

Halloween w ZSŁ

Michał Reuss



W tym roku obchodziliśmy Halloween 31 października. Wiele osób nie wyobraża sobie tego dnia bez wydrążonej dyni straszącej upiorną miną i mroźnych krew w żyłach opowieści. A jak wygląda ten szczególny dzień w naszej szkole?

W tym roku, jak zwykle, udowodniliśmy, że umiemy się bawić. Nie było wprawdzie świecących dyń i nietoperzy, ale odwiedziły nas liczne stwory i potwory.



Gazeta Szkolna ZSŁ

Redakcja w składzie:

Grzegorz Majgier (red. naczelny),
Michał Dudnik (skład),
Franciszek Niwicki (korekta),
Piotr Baciór, Michał Reuss, Karolina Maliszczak, Mateusz Pilzák, Patrycja Kalisz, Miłosz Cichorń, Kacper Dąbrowski

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl



Wiele osób przyszło do szkoły w przebraniu. Na lekcjach pojawiły się między innymi duchy, zombie, piraci, czarownice i żołnierze. Odwiedził nas również wielki dinozaur. 31 października mogliśmy puścić wodze wyobraźni. Do zabawy przyłączyli się również nasi Nauczyciele.



Dzięki inicjatywie Samorządu Uczniowskiego lepiej poznaliśmy nasze koleżanki i kolegów oraz spędziliśmy czas w świetnej atmosferze. Było wiele śmiechu i dobrej zabawy. Brakowało tylko cukierków i psikusów, ale to jeszcze przed nami.



Dziękujemy Dyrekcji, Nauczycielom oraz wszystkim Uczniom, bez których Halloween w naszej szkole nie mogłoby się odbyć. Serdecznie zapraszamy wszystkich na Halloween za rok. Na pewno ten dzień pozostanie w naszej pamięci na długo.

Koncert Patriotyczny w Filharmonii Krakowskiej: Uczucia i Odkrycia MBielu

W dniu 11 listopada miałem przyjemność uczestniczyć w koncercie w krakowskiej Filharmonii imienia Karola Szymanowskiego, który był zorganizowany z okazji Święta Niepodległości. To wydarzenie rozpało we mnie niezwykle emocje, którymi chcę się z wami podzielić. Razem z publicznością odczuwałem wspólnotę, gdy w jedności zaśpiewaliśmy „Mazurek Dąbrowskiego” - hymn, który jest dumą naszych przodków, walczących o niepodległość ojczyzny, na przestrzeni wielu lat. Miałem pewne wątpliwości, czy odnajdę się w gronie miłośników muzyki.

Mimo to postanowiłem uczestniczyć w tym muzycznym świecie i nie żałuję swojej decyzji. W programie koncertu usłyszeliśmy tak znane utwory jak: wymieniony już „Mazurek Dąbrowskiego”, „Rota”, „Szara piechota”, „Przybyli ułani”, „Rozkwitały paki”, „Ułani, ułani”, „Wojenko, wojenko”, „Pierwsza Brygada”, „Czerwone maki” oraz inne. Podczas słuchania pieśni przypominałem sobie niełatwą, a zarazem niezwykłą historię Polski. Wyobrażałem sobie, co mogli czuć żołnierze, słuchając tych piosenek, które motywowały ich do walki o ojczyznę. Momentem, który mnie szczególnie dotknął, były chwile, gdy rozpoznawałem utwory po pierwszych nutach, co przywoływało wspomnienia z lat, kiedy śpiewałem te utwory w szkole czy w gronie przyjaciół. Koncert stał się okazją do odkrycia nowych pieśni, których wcześniej nie znałem, takich jak: „Rozszumiwały się wierzy”, „Warszawianka 1831”, „Warszawskie dzieci”, „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę”, „O mój rozmarynie”, „Pierwsza Kadrowa”. Dzięki celebracji święta niepodległości zdałem sobie sprawę, że nie pochodzę z anonimowego Kraju o nieznanym historii, lecz z Polski, która odgrywała znaczącą rolę w Europie Środkowej. Nigdy wcześniej nie przypuszczałem, że muzyka może tak silnie oddziaływać na ludzkie emocje. Koncert wykonała Krakowska Młoda Filharmonia, składająca się z młodzieży, a dyrygował Tomasz Chmiel. Na scenie zaprezentowali się również artyści: Anna Bober - alt, Józef Dwojak - tenor, Paweł Szarpak - baryton. Po burzliwych oklaskach artyści zagrali ponownie „Wojenko, wojenko”, „Przybyli ułani” i „Pierwszą Brygadę”. Pomimo krótkiego czasu trwania, bo zaledwie godziny, to wydarzenie pozostawiło we mnie niezatarte wspomnienia i wyjątkowe wrażenia. Mam nadzieję, że w następnym roku wspólnie posłuchamy na żywo patriotycznych utworów.

Profesjonalista na scenie

Janko – muzykanto

Gdzie się podzieli profesjonalni muzycy?

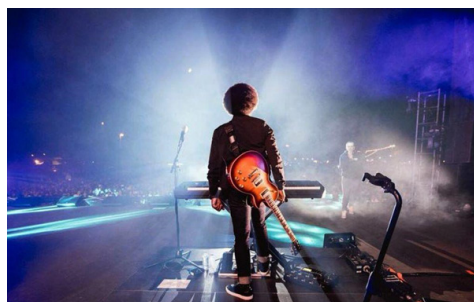
Żyjąc już niemal dwie dekady, udało mi się zauważyć pewną lukę w dzisiejszym świecie. Odkąd pamiętam, rodzice kochali słuchać starszych piosenek z czasów ich młodości — zespołów takich jak Modern Talking, Blue, Queen, Michael Jackson. Można by powiedzieć, że w moim domu często wybrzmiewa wiele klasyków.

Pytając się o powód takiego przywiązania do tych utworów, o przyczynę ciągle trwającej wobec nich ekscytacji, otrzymywałem zawsze tę samą odpowiedź — nostalgia. Rzecz normalna, człowiek lubi wracać do momentów, które dobrze mu się kojarzą, chociażby dzięki piosenkom, które można przypisywać do danych momentów swojego życia bądź też nawet osób! Znaczącą zaś różnicą, jaką zauważyłem w owej muzyce starszej — z czasów z młodości moich rodziców, jest zupełnie inny poziom. Nasze pokolenie często potrafi narzekać na utwory z tamtych czasów, uważając muzykę tamtych lat za przestarzałą, skrajnie inną niż tą, której słuchają sami na co dzień. Jednakże jeśli zastanowimy się głębiej, to ówczesne dzieła, sprzed kilku dekad, są klasykami muzyki nie bez powodu.

Dziś muzyką potrafi kierować miliard czynników, poczynając od komercji i poprawności, kończąc na próbie przemycania w tekstach jedynie podprogowych informacji, które potrafią być sugestią do ustosunkowania się do konkretnych poglądów (choćby politycznych). Czy było tak kiedyś? Zapewne nieraz, zapewne miało to jakieś wpływ na świat i wywołało to po latach spore kontrowersje. Jednakże mam czasami wrażenie, że, dajmy na to, polska scena muzyczna, chociażby hiphopowa — żyje takimi precedensami nieprzerwanie.

Brak tutaj profesjonalistów, którzy wzięliby na barki ciężar odpowiedzialności stworzenia muzyki, która pozbawiona by była wszelkich prób gonienia za trendami, „komercjalizacji” bądź podprogowych przekonań politycznych autora lub zwyczajnego tworzenia byle czego, byleby tylko utrzymywać się na fali twórców i przemysłu muzycznego. Dzisiaj „artyści” tworzą, nie zważając na treści przekazywane w utworach, a tylko i wyłącznie na OLIS (Ogólnopolską Oficjalną Listę Sprzedaży płyt). Nie tyczy się to rzecz jasna wszystkich twórców, gdyż od reguły mamy wyjątki, jednakże zapoznając się z aktualnymi dyskografiami tego roku, trudno nie zauważyć ogromnej powtarzalności w schematach. Dzięki dzisiejszej muzyce można się zrelaksować, jest to niewątpliwe, że włączając radio, można posłuchać czegoś z uśmiechem na twarzy, czując chwilową ulgę po pracy czy to po szkole. Jednakże zastanówmy się, ile jest takich piosenek, które faktycznie coś wnoszą?

Kiedy ostatnio realnie poczuliście się inaczej po jakiejś polskiej piosence, kiedy w ostatnim czasie wywołała u was jakiegokolwiek ciekawe emocje bądź refleksję? Nie irytację ani głupkowaty uśmiech ironii, tylko prawdziwe głębsze emocje i przemyślenia? Od naprawdę dawna nie słyszałem polskiego utworu z głębszym oraz znaczącym sensem... gdzie się podzieli profesjonalści?



Tabula rasa

Grzegorz Majgier

Przechadzałem się alejką sklepu, tego z duperelami wszelakimi — powiedzmy, że jego nazwa to Latający Tygrys Kopenhaga. Jeśli myślicie, że Bóg ani człowiek czegoś jeszcze nie stworzyli, to właśnie tam znajdziecie. Mój przyjaciel na przykład dokonał transakcji zmieniającej życie - kupił talię kart w formacie A4. Nie mam pojęcia, jak je będzie tasował, a dyskrecja w grze w pokera na cukierki (nigdy na pieniądze - przyp. red.) będzie wyjątkowo utrudniona. Ale uśmiech na jego twarzy był wart każdego grosza, tak myślę. Nie przedmiot się liczył, lecz uczucia, jakie z nim przyszły. Przedmiot zostawi w domu, zgubi, zniszczy - wspomnienia zachowa na wieki.

Jego kapitalistyczną miłością od pierwszego wejrzenia były te gigantyczne karty, moją - czarny notes, planer. Nie wiem, czy to skrzywienie wynikające z zamiłowania do pisanego, czy też każdy tak ma - gdy widzę notes, towarzyszy mi pewien rodzaj ekscytacji.

Kiedy patrzę na książkę, też czuję lekki dreszczyk emocji - nie wiem jeszcze, co jest w środku, ile się z niej dowiem, czy mnie rozbawi, zasmuci, zostawi w zadumie - ot, taki rejs w nieznaną. Zeszyt to zupełnie co innego.

Puste kartki porywają mnie tym, że są właśnie puste - zupełnie jakby ktoś wepchał mi w rękę mikrofon, pióro, skarby Olimpu czy kostur starego brodacza i powiedział: „Róbże człowieku, co ci się tylko żywnie podoba.”

To, co wzięłem do rąk, było akurat planerem. Ooo, planery mają jeszcze inną moc. Cała ta pusta przestrzeń to miejsce, by uporządkować swoje życie. Do stu tysięcy wąsów, kto nie chciał kiedyś ułożyć swojego życia. Poplanować trochę, a co.

Kalendarze, planery, listy z rzeczami do zrobienia - gigantyczny papierniczy kolos, który żeruje właśnie na ludzkiej potrzebie ułożenia. Więc kupujemy je naiwnie, często buląc krocie (ja dałem dwie dychy za ileś pustych kartek - można powiedzieć, że dałem się zrobić w balona, bo za dyszkę więcej mogłem dorwać książkę, która nie dość, że ma więcej kartek, to ktoś już wypełnił je treścią, zamiast zrzucić ten obowiązek na mnie), planujemy i uśmiechamy się do tych planów, głoszcimy je paluszkami i idziemy spać z uśmiechem na ustach.

Wszystko po to, by następnego dnia wszystko diabli wzięli - czy to przez korki, niezapowiedzianą wizytę członka rodziny, nagły deficyt spożywczy w kuchni czy Bóg wie co jeszcze.

A jednak czasami znienacka czujemy, że coś w naszym życiu można by zmienić. To wtedy spoglądamy z nadzieją ku tym pustym kartkom - chcemy, żeby niektóre sfery naszego życia też się wyczyściły, by wypełnić je na nowo - tym razem lepiej.

Planujemy - to super rzecz. Ale żyjemy z planem, ale nie pod plan. Nie projektujemy każdej godziny naszego dnia, ba, niektórzy nawet posuwają się do minut. Gorzej jak spędzą na śniadaniu minutę dłużej - wszystko ucieka o minutę do przodu. Tramwaj się spóźni, zajęcia przedłużą - i już powstaje katastrofa rozmiarów ludzkiej głupoty (a ta podobno jest nieskończona).

						6	3	
	6				3			4
		3			6	1		9
		6	9				7	
3					4			6
1		7	8					2
4			6		9	2		
6	5							7
	7		5				6	3

Zmieniamy, ale nie wszystko naraz. Żaden renowator zabytków jeszcze nie powiedział: „Dobra, wjadą buldożery i postawimy to na nowo, ale w stylu modernistycznym, bo czemu nie?”. Dokręćmy śrubkę tu i tam, nie rozbierajmy wszystkiego, bo spora jest szansa, że nie złożymy tego z powrotem.

Miłego i produktywnego listopada życzę wszystkim i uroczyste obiecuję dobrze wykorzystać notes, w zamian za który kasjerka przytuliła moje dwie dyszki (zamiast tego miałbym dwie kawy lub pół obiadu w restauracji w 2019 roku).

Kącik historyczny: Średni w teorii, słaby w wykonaniu – T-34

Miłosz Cichoń

Część 1.

Na samym początku muszę ustalić jedną rzecz - każdy z nas, niezależnie, czy jest historykiem, czy tylko amatersko zajmuje się historią, czy też może ma kompletnie inne zainteresowania - każdy z nas słyszał o T-34, sławnym, fantastycznym i niezniszczalnym sowieckim czołgu, który nie miał sobie równych. O tym, że kompletnie rozjechał Niemców i prawie sam wygrał wojnę oraz jeszcze wiele innych pochlebnych opinii, które na jego temat głoszą. Legenda T-34 w zderzeniu z rzeczywistością nie pozostawia jednak żadnych złudzeń: nie był to czołg idealny. Prawdę mówiąc, daleko mu było do ideału. Już wytłumaczę, dlaczego.



Historia i kontekst powstania...

W latach 30. XX wieku, dzięki bezprecedensowemu rozwojowi industrialnemu i powstaniu szeregu uczelni technicznych oraz wojskowych, ZSRR zaczął tworzyć monstrualne siły pancerne. Jednym z pierwszych czołgów były czołgi BT: szybkie i zwinne, doskonale nadawały się do działań ofensywnych, inspirowanych choćby głębokimi rajdami kawaleryjskimi z wojen w latach 20. Jednakże wojna domowa w Hiszpanii (którą m.in. Sowieci i hitlerowcy potraktowali jako poligon wojskowy) dowiodła, że słabe uzbrojenie, a nade wszystko cienkie opancerzenie nie zapewniały czołgom BT dostatecznej siły przełamującej i odporności na środki przeciwpancerne.

Pod koniec lat 30. rozpoczęto prace nad nowym wozem, który, zachowując właściwości manewrowe, posiadałby grubsze płyty pancerne i silniejsze uzbrojenie artyleryjskie. Zaprojektowano czołg średni, który miał spełniać zadania tzw. lekkiego czołgu pościgowego. Tak oto zaistniał T-34: powstawał on w charkowskiej fabryce nr 183 i w 1940 roku włączono go do jednostek sił zbrojnych.

Wóz wyróżniał się kształtem kadłuba – nachylony pod kątem płyty znacznie poprawiał właściwości defensywne, grubość przedniego pancerza sięgała 45 mm, w wieży zamontowano 76- milimetrową armatę. Zastosowano sprawdzone amerykańskie podwozie typu Christie i dieslowski napęd. Czterookobowy T-34 miał bardzo korzystny stosunek mocy do masy, co wpływało m.in. na niezłe właściwości trakcyjne.

22 czerwca 1941 roku Niemcy atakują ZSRR. Sowieci ponoszą ogromne straty – pierwszego roku wojny tracą aż 20 tys. (!) czołgów, w tym 2300 T-34. Na tak ogromne straty składa się wiele czynników, ale najważniejszym jest sowiecka logistyka w tamtym momencie, a bardziej – jej brak. Widzicie, Drodzy Czytelnicy, tuż po tym, jak operacja „Barbarossa” się rozpoczęła, logistyka w ZSRR kompletnie pograżyła się w chaosie. W pośpiechu wysyłano czołgi i ich załogi na front w masowych ilościach, jednocześnie zapominając, że załogi potrzebują również jedzenia, a czołgi paliwa, amunicji oraz części zamiennych. Sprawiało to, że co prawda T-34 szybko trafiły na front, ale równie szybko były one porzucane przez ich załogi z powodu braku wyżej wymienionych zasobów. W tamtym czasie Sowieci również brakowało pojazdów m.in. holowniczych. Z tego powodu ZSRR stracił w pierwszym roku walk tyle czołgów. Warto wspomnieć również, że opuszczone „teciaki” bardzo często wpadały w łapy Niemców. Związkowi Radzieckiemu udało się wskrzesić swoją logistykę dopiero rok później, w 1942 roku.

...Czołgu pełnego usterek

Na papierze pojazd wydawał się całkiem dobry – szybki (silnik W-2 o mocy 500KM miał zapewniał prędkość 53 km/h po równej drodze i 25 km/h w terenie) z dobrym pancerzem (przedni pancerz: 45 mm stali pod kątem 60 stopni) oraz z przyzwoitym działem. Niestety, tylko na papierze. Żaden z T-34 nie został stworzony według standardu w planach. Tutaj kryje się problem czołgu – nie tyle w założeniach konstrukcyjnych, ale w samej produkcji pojazdu.

Zacznijmy od szybkości pojazdu – w praktyce sam dobry silnik nie wystarcza. „Teciaki” miały okropną w eksploatacji skrzynię biegów, a w połączeniu z podobnej jakości sprzęgłem i 4 biegami w skrzyni biegów T-34 osiągał maksymalnie 15 km/h po równej drodze. Powód takiego spadku szybkości jest dość nieoczywisty, a dokładniej – wszystko to przez trudności ze zmianą biegów. Zmiana z dwójki na trójkę wymagała ogromnej siły, mało którego kierowcę było na to stać w warunkach bojowych. Natomiast zmiana z trójki na czwórkę wymagała użycia tak nieludzkiej siły, że dźwignia zmiany biegów nierzadko ulegała zniszczeniu!

Teraz pancerz – jak i w tym przypadku, plany nie są równe rzeczywistości. Na wadliwość pancerza miało wpływ parę czynników, głównie sam proces jego powstawania. Jeśli nie wiecie, to grubość pancerza nie jest jedynym składnikiem skutecznej ochrony załogi – jest wiele sposobów na zwiększenie efektywnej grubości, jednocześnie nie pogrubiając go fizycznie. Jednym z tych procesów jest hartowanie stali. W trakcie wojny praktycznie wszystkie państwa hartowały swoją stal, by dodać choćby tę odrobinę ochrony do swoich czołgów.

Sowieci jednak hartowali swoją stal w dwukrotnie wyższej temperaturze niż robili to pozostali alianci – sprawiało to, że ich pancerze były o wiele bardziej twarde, ale jednocześnie o wiele bardziej kruche. Z tego powodu przy celnym trafieniu w m.in. T-34 dochodziło do następującej sytuacji – pocisk nie przebijał pancerza, ale przekazana energia odrywała kawałki stali od wewnątrz i taki oto „szrapnel” trafiał w załogę.

Co do działa nie było wielkich zastrzeżeń. Poza oczywiście tym, że sowiecka amunicja była bardzo kiepskiej jakości i znacząco obniżała możliwości bojowe armaty.

Jaki był powód takiej zawodności T-34? Ano, jest on prosty – winnym tego jest Fabryka 183 na Uralu. Postawiono w niej na masową produkcję czołgów, co się im udało – w trakcie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej wyprodukowała ona 29 tys. T-34. To aż 50% wszystkich wytworzonych w trakcie wojny „teciaków”! Jednakże, by przyspieszyć produkcję, postanowiono w owej fabryce gwałtownie ją ułatwić, co skutkowało rażącym spadkiem w jakości czołgów. Tak więc czołgiści w ZSRR nie mieli pewności co ich przyszłego pojazdu – ich życie zależało od tego, czy dostaną czołg z Fabryki 183, czy standardowej jakości T-34.

Koniec części pierwszej.



O upadku języka słów kilka

Mateusz Pilzak



Jednym z filarów dobrego mówcy jest nienaganna dykcja, prawda? Cóż, patrząc na ostatnie lata, można powiedzieć, że to stwierdzenie jest coraz mniej prawdziwe. Co się dzieje i jak to jest powiązane ze spadkiem popularności tradycyjnych mediów? Na te pytania postaram się odpowiedzieć poniżej.

Na samym początku zaproszę was do spojrzenia na historię polskiej kinematografii i dziennikarstwa. Druga połowa ubiegłego wieku upłynęła pod naciskiem propagandy sukcesu, wywieranej przez PZPR.

Propagandy, która nie pozwalała na żadnego rodzaju treści sprzeciwiające się partii. Cenzura i idące za nią zniewolenie artystyczne były wtedy całkowitą normą. Jednak ta polityka ustawiała wysoki próg wejścia do branży aktorskiej i utrudniała zdobycie pracy powiązanej z mówieniem w telewizji publicznej. Poza posłuszeństwem wobec partii i dobrymi koneksjami, wymagano posiadania szczególnych umiejętności, a wśród nich świetnej dykcji.

Weźmy na tapet Krzysztofa Świętochowskiego - człowieka, którego głos mogliśmy usłyszeć w „Polskim Radiu” i w „Polskiej Kronice Filmowej” w latach siedemdziesiątych. Mężczyzna ten obdarzony był radiowym głosem, ale też wyćwiczoną, ostrą jak brzytwa i niesamowicie czytelną dykcją. Język, którym się posługiwał, nie był prosty, ale nie był też niezrozumiały - świetnie balansował między podniosłością, a konwencjonalnością.

Teraz przyjrzyjmy się I sekretarzowi KC PZPR, którym był Edward Gierek. Z oczywistych przyczyn nie będę się zagłębiać w politykę, tylko skupię się na temacie mojego artykułu, czyli na dykcji. O dziwo, Gierek mimo tego, że dużą część swojego życia spędził jako górnik, mówił nie tylko poprawnie, ale nawet jego dykcja może być wzorem do naśladowania. Słychać, że przed objęciem odpowiedzialnego za wszelkiego rodzaju przemówienia publiczne stanowiska sekretarza, musiał on spędzić wiele czasu na ćwiczeniach językowych, ponieważ poza świetną artykulacją, władał charakterystycznym ł, potocznie zwanym szlacheckim ł. Ponadto sekretarz PZPR w swoich mowach był bardzo charyzmatyczny i potrafił zręcznie zmniejszyć dystans między nim - przemawiającym, a adresatami.

W nawiązaniu do przedniojęzykowo-zębowego ł, o którym wspominałem wcześniej, nie można zapomnieć o aktorach, spikerach, piosenkarzach, a nawet niektórych księżach. Korzystanie płynnie z tej głoski było wyznacznikiem wysokiego statusu i w pewnym momencie historii mediów Polski stanowiło standard mowy publicznej.

Dziś sytuacja wygląda zgoła inaczej. Nie ma rządzącej nad wszystkim co publiczne cenzury ani media nie muszą być w pełni zgodne z polityką partii rządzącej. Ponadto postęp techniczny pozwolił na to, żeby każdy, kto chce, mógł być częścią mediów społecznościowych, które znacząco przerosły te tradycyjne. Jednak wraz z pozytywnymi przemianami, takimi jak liberalizacja przekazu publicznego, idzie wiele zagrożeń. Kiedyś, by móc wypowiadać się w mediach publicznych, trzeba było mieć wykształcenie, umiejętności oraz zostać wybranym. Osoby, których wypowiedzi były transmitowane na całą Polskę, stanowiły małą grupę. Natomiast dziś wystarczy mieć Internet szerokopasmowy i odrobinę upor, aby znaleźć grupę, na której życie można mieć większy lub mniejszy wpływ. Efekt tego jest taki, że ludzie niewykształceni, prymitywni, a czasem z marginesu społecznego, mają duży wpływ na nas i na młodsze pokolenia.

Pozwolę sobie przytoczyć historię, która pokazuje jak bardzo przyswajamy treści, które oglądamy. Influencer z Niemiec - Jan Zimmerman, który chorował na zespół Tourette'a, zebrał na mediach społecznościowych dość dużą grupę odbiorców.

Okazało się, że jego głównie nastoletnia widownia, mimo tego, że była w pełni zdrowia, zaczęła przejmować jego tiki. Odpowiada za to prosty mechanizm socjologiczny - przystosowujemy się do rzeczy, które nas otaczają, przyjmujemy je jako normy. Na marginesie zaznaczę, że ten kontekst pokazuje tylko i wyłącznie sposób działania naszych umysłów - choroba nie wyklucza z angażowania się w wypowiedzi kierowane do szerszej publiki.

Zastanówmy się więc, ilu twórców, których śledzimy, ma spore braki w artykulacji lub popełnia błędy językowe. Pomyślmy też, czy nie przyjmujemy tych zachowań jako normy, upośledzając naszą intuicję językową i dykcję. Ponadto przeanalizujmy naszą mowę, czy może ignorujemy nasze błędy, czy usprawiedliwiamy je w różny sposób i spróbujmy wyciągnąć wnioski, czy jest to dobre dla nas, naszego umysłu i języka.

Niech ta refleksja zostanie z nami na dłużej i niech zwraca nam uwagę na to, co oglądamy, czego słuchamy i jak mówimy, abyśmy za parę lat nie mieli sobie nic do zarzucenia.

OZWM część 3

Filip z Konopi



Opowieści wszelkiej treści, wprost z ust starego rocznikiem kolegi, z klasy maturalnej.

Błąd. Każdemu się zdarzyło w tej szkole zrobić coś nie tak, jak powinien. Konsekwencje tego mogą być większe bądź mniejsze, ale - czy nadal jest się czym przejmować? Zapewne nie i zapewne też każdy z nas doskonale sobie zdaje z tego sprawę, jednak kierowałbym tutaj bardziej oczy w stronę pierwszoklasistów.

Młodzi adepci potęgi mocy, jaką jest wiedza oczywiście, często potrafią się w tak młodym wieku i tak nowym środowisku załamywać zaistniałymi sytuacjami. Dajmy na to błąd, popełniony na pracowniach, może często zniechęcić bądź też przestraszyć przyszłych techników. Młodzi... jeżeli mógłbym wam coś poradzić, to nie obawiajcie się błędów — od tego jest szkoła! Waszym zadaniem w tej placówce jest nauczyć się tych wszystkich rzeczy, o których najpewniej przed przyjściem tutaj nie mieliście pojęcia bądź też nie mieliście możliwości ich wcześniej spróbować.

Nie obawiajcie się błędów, obawiajcie się zaniechania i wycofania, gdyż ten, który nie próbuje, nie wyniesie dużo z tej szkoły. Pamiętam, że sam dostałem reprimendę już w pierwszych tygodniach nauki. Usłyszałem, żeby się dobrze zastanowić, czy chcę zostać technikiem i czy oby na pewno tu pasuję. Dziś mijam z uśmiechem tego nauczyciela, zaliczając praktykę na obu egzaminach bez większych problemów, zdobywając uprawnienia i będąc już pewnym, że warto próbować i walczyć, a czasami wręcz ignorować komentarze z zewnątrz.

Niekiedy może i nauczyciele nie chcą dla was źle, ale jeżeli macie wątpliwości, spróbujcie chociaż powalczyć, nie poddając się po pierwszym czy też drugim upadku. Powodzenia panie/pani technik(u)!

Łączność z duchami

Kacper Dąbrowski

Było to tuż, przed końcem października.

Pani Maria – wszechstronna pomoc szkolna – przemierzała puste korytarze ze swoim sprzętem czyszczącym i mruczała:

- Zmieniać buty gargamele!... Zmieniać buty!... Po co w ogóle dyrektor sobie głowę zawraca. Chyba tylko żeby z uczniami zagadać?!

I wielkim mopem robiła „ósemki” na długim holu. Przez okno zobaczyła uczniów niosących wielką dynię wyciętą w dziwne otwory.

- O! I jeszcze tego brakowało! Ten cały cyrk z dyniami, duchami... Na co to komu? Z dyni to się zupeć robi, a duchy nie istnieją.

Gadając sama do siebie, doszła w najstarszy kąt szkoły i siadła na wiekowym fotelu. Nagle zza dawno nie używanego pokoju usłyszała szepty:

- Nie ma łączności!... Nie ma łączności!

Podeszła do drzwi i słuchała dalej.

- Koniec z łącznością!... Koniec z łącznością!

Przerażona głosami rzuciła wszystkie rzeczy i uciekła. W domu długo nie mogła zasnąć.

Następnego dnia, cała w nerwach, wparowała do gabinetu Dyrektora:

- Panie Dyrektorze, pracuję tu już 30 lat i coś takiego nigdy mi się nie przydarzyło... Wiem od duchów szkoły, że będzie jej koniec, czy może mi to Pan wyjaśnić?

- Ale pani Mario! Ja zupełnie nie wiem o co chodzi!?

- O co chodzi?! Bo to wszystko dziwne takie! Ten cały „Halloween”, te dynie i te duchy w sali 13!

Dyrektor był wyraźnie poruszony.

- Jakie duchy pani Mario? Czy dobrze się Pani czuje?

- Że co?! Że stara jestem, to mi się coś wydaje? Wczoraj jak usiadłam pod salą 13, to słyszałam: „Nie ma łączności... Koniec z łącznością”. To była na pewno wiadomość od tych duchów, co je chłopaki z dyniami przynieśli!

Dyrektor z całą powagą swego stanowiska nalał Pani Marii szklankę wody, a sam wybiegł z gabinetu. Na korytarzu, długo nie mógł opanować śmiechu. Zawołał Matematyka, aby wspólnie uspokoić panią Marię. Gdy weszli do gabinetu, ona dalej płakała i głaskała sztandar szkoły.

- Tyle lat! Tyle lat! A tu koniec łączności! Mój Boże!

Panowie nie mogli dłużej trzymać jej w takim stanie.

- Kochana pani Mario, to nie były żadne duchy. To my wczoraj trochę majstrowaliśmy w sali 13, bo jest tam stary radiowęzeł i trzeba go naprawić. Kable się przetarły i stąd „brak łączności”.

Pani Maria skoczyła, jakby nagle ubyło jej lat.

- I nie ma duchów?! Jest łączność?! Chłopcy moi kochani!

Zaczęła ich przytulać i całować.

- Tak pani Mario, szkoła będzie trwać wiecznie jak jej duchy – Dyrektor mrugnął znacząco do Matematyka.

„Złap mnie, jeśli potrafisz” – recenzja filmu

Anonim

Ostatnio w Internecie natknęłam się na zwiastun pewnego filmu, który bardzo mnie zainteresował. Miałam chwilę wolnego czasu i szybko zdecydowałam, że obejrzę komedię kryminalno-sensacyjną zatytułowaną „Złap mnie, jeśli potrafisz” (ang. Catch Me If You Can) w reżyserii Stevena Spielberga z 2002 roku. Film opowiada o losach Franka Abagnale’a Juniora, jednego z najbardziej uzdolnionych fałszerzy na całym świecie. Historia niebanalnego życia mężczyzny zaintrygowała mnie, pomimo tego, że właściwie nie interesuję się tematyką oszustw.

Fabula filmu zaczyna się typowo - po rozwodzie rodziców, nie chcąc podejmować decyzji o tym, z kim zamieszka, nastoletni Frank Abagnale ucieka z domu. Jest zdeterminowany, by wyjechać do Nowego Jorku i rozpocząć nowe życie. Brakuje mu jednak środków do życia, nie ma oszczędności ani poważanego zawodu. Zafascynowany wpada na pomysł, by „zdobyć” pracę - w sposób nie do końca legalny - a jego wybór pada na... pilota linii lotniczych Pan Am. Potem robi się jeszcze ciekawiej. Razem z bohaterem bawimy się i podróżujemy po całym świecie. Nie będę jednak zdradzać, co było dalej i jak zakończyła się ta historia – sprawdźcie to sami. Na pewno nie będziecie się nudzić - w filmie akcja toczy się szybko, towarzyszy jej dobra muzyka i humor.

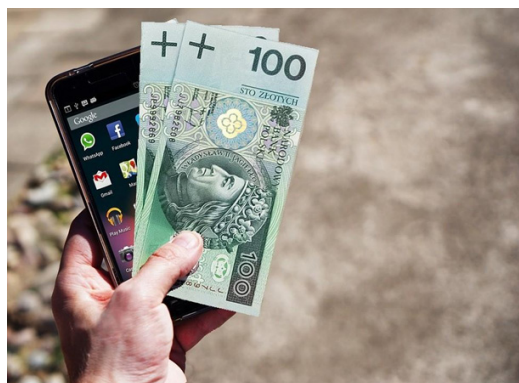
Główną rolę w filmie zagrał Leonardo DiCaprio, który fenomenalnie spisał się jako młody fałszerz, wykazując się niezwykłą inteligencją, przebiegłością, pewnością siebie, jak również urokiem osobistym, co pozwalało mu zdobywać zaufanie najróżniejszych osób i wielokrotnie ratować się z opresji. Z kolei, Tom Hanks świetnie odnalazł się w roli agenta FBI – wytrwałego Carla Hanratty’ego, który przez lata próbuje udowodnić wielki przekręt i dopaść młodego Franka Abagnale’a.

Warto także wspomnieć o tym, że film oparty został na biografii Franka Abagnale’a Juniora. W obecnych czasach mężczyzna profesjonalnie zajmuje się fałszerstwami, jest bowiem konsultantem do spraw bezpieczeństwa dokumentów. Jednakże nigdy nie pracował dla FBI jako ekspert od zabezpieczeń, jak jest to przedstawione w filmie. Jeden z rzeczników agencji FBI przyznał, że zdarzyło się, by Abagnale wygłaszał w akademii wykłady „od czasu do czasu”, ale zaprzeczył pracy czy rekomendacji mężczyzny w biurze śledczym.



Sieć

Piotr Baciór



Jedna wielka siatka połączeń dzisiejszego świata.

Zauważyliście pewną zależność w dzisiejszym świecie techniki? Mając jedno urządzenie typu smartfon, tablet bądź też laptop, nie jesteśmy w stanie w pełni korzystać z jego możliwości bez odpowiednich usług. Mam tu na myśli chociażby usługi internetowe tudzież streamingi typu Netflix, Disney Plus itp. Oczywiście jest fakt, że wcale nie musimy korzystać z gotowych ofert przygotowanych „specjalnie dla Ciebie”. Sęk w tym, że coraz częściej można zauważyć, że przy zakupie jednej usługi, siłą rzeczy do możliwości skorzystania z jej pełnych możliwości, wymagane jest dokupienie magicznego pakietu. Czy to będzie abonament, jednorazowa opłata bądź też skromna dotacja we wszelkiej formie. Świat powoli zaczyna składać się z pakietów.

Dotyczą one zawsze niestworzonych cudów i to właśnie dzięki nim osiągniemy pełnię szczęścia oraz możliwości korzystania z wcześniej wymienionych usług. To coraz zabawniejsze, jakim świat staje się targiem, na którym ludzie robią wszystko, aby dogodzić sobie „pakietem Platinum” na wszelkich stronach internetowych, we wszelkich usługach czy też nawet w kupnie rzeczy takich jak telefon, samochód czy nawet obuwie.

Powoli odchodzi się od zwykłych produktów, a przynajmniej są one coraz bardziej zastępowane przez te wyjątkowe, klasy premium, które są zwyczajnie „lepsze”. Pamiętajmy jednak, że droższe nie zawsze oznacza lepsze i czasami warto wybierać starsze rozwiązania, aniżeli kombinować z nowymi, teoretycznie lepszymi, które najpewniej w krótkim czasie zawiodą nas swoją niezawodnością.

1	8		5	9	4	7	6	
	9		6					8
			2			5	9	
5			4	3	8	9	7	6
	3			6				1
6	7		1				8	
8	5	7		2		1		9
3			9			8	2	
	2	1		4	5	6		

Recenzja filmu „FNAF”, czyli opinia napisana z dwóch perspektyw

Michał Dudnik

Myślę, że tytuł artykułu mówi sam za siebie. Jest to film, na który z pewnością czekało sporo ludzi, szczególnie fanów serii gier (o czym świadczą pełne sale w dniu premiery) oraz sprzedaje - ten film w Ameryce przebił swoją cenę dwukrotnie. W każdym razie mam bardzo ambiwalentne odczucia odnośnie tego dzieła i (UWAGA, DLA OSÓB, KTÓRE NIE LUBIĄ SPOILERÓW, KAŻDY FRAGMENT ZAWIERAJĄCY TAKOWE BĘDZIE OZNACZONY POPRZEZ: «») chciałbym się podzielić swoją opinią.

Zacznę od tego, że wątek Williama Aftona «jest bardzo słabo rozwinięty względem fabuły gier, i nie wiedzieć czemu, Vanessa jest jego biologiczną córką (w filmie jest on przedstawiony jako Steve Raglan, więc o jego prawdziwym imieniu mogę się jedynie domyślać), gdzie w oryginalnej serii to wirus „Glitchtrap”, czyli umysł Williama umieszczony w grze komputerowej jest mostem między nim, a beta-testerką Vanessą». Ten człowiek pojawia się dwa razy w całym filmie, choć jest kluczową postacią, dzięki której powstają wszystkie zdarzenia. Czas akcji również nie został jawnie wskazany. Co prawda do zamknięcia pizzerii Fazbear bohaterzy odnoszą się jak do czegoś, co miało miejsce dawno, ale nie jest nawet wspomniane, ile lat mieli główni bohaterzy.

Kolejną różnicą jest cała rodzina. Mike Shmidt, «który w grach miał nazwisko Afton i był synem Williama, mającym na celu rozwiązanie zagadki morderstwa jego ojca» ma siostrę i brata, którego porwano, gdy Mike miał dwanaście lat. W grach nic takiego nie miało miejsca, co kolosalnie odbiera autentyczności całym zdarzeniom (na tle twórczości Scotta Cawthona oczywiście). Shmidt jest zdesperowany, ponieważ walczy z ciotką o prawa do opieki nad Abby (siostrą Mikea), dlatego też podejmuje się pracy w pizzerii. «W serii gier, jak już wspominałem, jego motywacją było rozwiązanie tajemnicy i pomoc duchom dzieci».

Jeśli natomiast spojrzymy na film jako twórczość niezależną od serii Five Nights At Freddy's, na dzieło inspirowane nią, to można stwierdzić, iż film jest całkiem dobry. Jest on wielowątkowy z dosyć ciekawymi zwrotami akcji, których wielu mogło się nie spodziewać (uważam jednak, że nie był to efekt zamierzony, a raczej skutek błędu popełnionego przez reżyserów), ale niemniej jednak są one ciekawe. Oprócz elementów horrorowych, które są motywem przewodnim tego filmu, pojawia się sporo komedii, drobnych żartów, nawet zabawnych.

Sporym minusem (niezależnym od autorów) była widownia. W sali kinowej zgromadziło się sporo osób dosyć młodych (od około 10 do 16 lat), które pisały, krzyczały i wręcz klaskały, gdy działy się zdarzenia, kojarzone z gier video. Mnie, osobę, która cały ten film oglądała z przymrużeniem oka, takie reakcje początkowo bawiły, a po trzecim razie wręcz irytowały. Niemniej jednak podzielałam to zdziwienie, gdyż sam nie spodziewałem się takich zagrywek od producentów.

Jeśli ktoś oczekuje od tego filmu autentyczności i powiązań z oryginalną fabułą, niech lepiej nie marnuje czasu. Z kolei dla osób, które nie mają wygórowanych oczekiwań i czują do tej serii przyjemną nostalgię – gorąco polecam.

Ocena przez pryzmat fabuły gier: 4/10.

Ocena filmu abstrahując się od serii Scotta: 7,5/10.



Horn in the world

Karolina

O tym jak brzmi waltornia 212 metrów pod ziemią i czemu tam się znalazła

Nie jedna, a ponad czterdzieści waltorni, każda w rękach niezwykle utalentowanych młodych muzyków z różnych stron świata. „Horn in the World” to program warsztatów dla waltornistek i waltornistów, który swój finał miał w wyjątkowym miejscu, bo w najstarszej kopalni soli w Polsce, na głębokości 212 metrów pod powierzchnią ziemi.

Występ finałowy był dziełem powstałym wskutek współpracy muzyków z akademii muzycznych w Karlsruhe, Maastricht, Bolonii i Krakowie, zgromadzonych na kursie „International Hornweek 2023”, koordynowanym przez dra hab. Wojciecha Kamionkę, który był konferansjerem podczas całego występu. Właśnie jemu wykonawcy i słuchacze zawdzięczają obranie lokalizacji, jaką była Kopalnia Soli w Bochni.

W sobotę, ostatniego dnia września, w Komorze Ważyn, można było usłyszeć zarówno prawdziwe klasyki: „Carmen” - G. Bizeta czy „Tristan i Izolda” - R. Wagnera, jak i sztandarowe dzieła hollywoodzkiej muzyki filmowej: „Jurassic Park” - J. Williamsa i „Przeminęło z wiatrem” - M. Steinera.

Należy zaznaczyć, że mimo jednego instrumentu wiodącego, wydarzenie nie było jednorodne, a zaskakujące i bogate w motywy. Miłym zaskoczeniem było wykonanie utworu „Carmen” wraz z śpiewakami operowymi - Wiktorią Zawistowską-Tylibą (mezzosopran) i Askaniuszem Garlickim (baryton). Wyżej wymienione kompozycje współczesne zostały urozmaicone brzmieniami bębna i dzwonków, co nadało wykonaniu tej magii, za którą są ceniowane.

Ciekawym zabiegiem, który uatrakcyjnił występ, było rozłożenie brzmień dookoła widowni. Przeważająca część artystów wykonywała utwór z głównej sceny, natomiast kilkusobowa formacja poruszała się po tyłach sali lub rozchodziła na boki. To nieoczywiste rozwiązanie nadało doznań podobnych do słuchania muzyki 8D.

W repertuarze koncertu znajdowały się motywy muzyki narodowej, przeplatane zwrotami do muzyków z danego kraju, w języku, którym się posługują. Liczną grupę stanowili artyści z Ameryki Południowej, a szczególnie z Brazylii. To właśnie oni wraz z cenionym waltornistą i dyrygentem - Adalto Soaresem - przejęli show, wprowadzając na scenę ten animusz, kolor i uśmiech, z którego ich naród jest znany - prawdziwe Rio de Janeiro. Na koniec sympatyczna grupa brazylijskich muzyków zaszczęła publiczność wykonaniem nadprogramowego utworu.

Zimno skalnych ścian Kopalni Soli w Bochni skutecznie zostało rozwiane przez talent czterdziściorga niesamowitych artystek i artystów oraz czyste, ciepłe brzmienie waltorni. Tego dnia przestrzeń bocheńskich podziemi wypełniła się hucznym rezonansem.



„Jak podejść Rozpruwacza”

Kerri Maniscalco

– recenzja

Patrycja Kalisz

Lubisz czytać książki? Uwielbiasz zagadki kryminalne? Ten artykuł jest dla ciebie!

„Jak podejść Rozpruwacza” to pierwszy tom serii autorstwa Kerri Maniscalco. To również historia o miłości i zbrodni, przyciąganiu i chemii, która z mieszkania angielskiego lorda prowadzi do sal laboratoryjnych i do ciemnych zaułków dziewiętnastowiecznych londyńskich ulic.

Siedemnastoletnia Audrey Rose Wadsworth to córka angielskiego lorda, której pisane jest życie w luksusach i bogactwach. Jednak przymiarki sukni, eleganckie podwieczorki i aranżowane małżeństwa nie leżą w zakresie jej zainteresowań. Lepiej wychodzi jej szycie martwych ciał niż wzorów na serwetkach. Wbrew zakazom surowego ojca wymyka się do laboratorium stryja, by pod jego okiem odbywać krwawe praktyki z medycyny sądowej. Wraz z nieznosnie aroganckim i irytującym kompetentnym towarzyszem z prosekutorium bohaterka dołącza do poszukiwań seryjnego mordercy zwanego Kubą Rozpruwaczem.

Książka jest napisana lekkim stylem i płynnym językiem. Akcja toczy się, nie pozostawiając ani chwili na odpoczynek. Fabuła jest niezwykle wciągająca. Nie mogłam jej odłożyć, dopóki nie poznałam rozwiązania zagadki.

Bohaterowie zostali świetnie wykreowani. Audrey Rose jest typowym przeciwieństwem ideału kobiety w XIX wieku.

łamię wszelkie stereotypy. Pokazuje wszystkim mężczyznom, że jest im równa i tak samo jak oni może rozwijać swoje zainteresowania. Za to Thomas Cresswell jest przemądrzały, arogancki, bezpośredni, niestosowny i niezwykle przystojny. Brzmi jak świetny duet, prawda?

Powieść jest kolejnym wydaniem historii najstraszniejszego mordercy grasującego w okolicach Whitechapel w Londynie w 1888 roku. Kerri Maniscalco świetnie połączyła te wydarzenia z równie ciekawą opowieścią o miłości. Bardzo przypadło mi do gustu też to, że na końcu książki pisarka wyjaśniła wszystkie nieścisłości historyczne, które zdecydowała się wprowadzić.

Warto wspomnieć, że opisy prowadzonych sekcji zwłok są bardzo obrazowe, a dokonane morderstwa brutalne, więc jeśli jesteście wrażliwi na takiego typu treści, to raczej nie jest książka dla was.

„Jak podejść Rozpruwacza” otrzymało ode mnie 10/10 złotych marchewek. Z całego serca polecam, zwłaszcza jeśli jesteście fanami kryminalnych zagadek.

Twój wybór

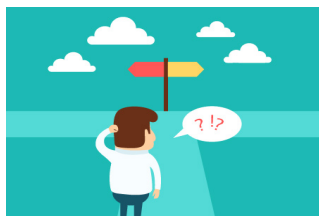
Piotr Bacior

Myśleliście kiedyś nad przewrotnością życia? Nad tym, ile wasze decyzje kosztują? Bądź też nad tym, co by się stało, gdyby życie potoczyło się w inny sposób? Każdy z nas marzy, niektórzy częściej, niektórzy rzadziej. W gruncie rzeczy wybieramy konkretne cele, marzenia, które mamy potem realizować.

Człowiek musi mieć po co żyć. Tacy już jesteśmy: kiedy mamy cel, mamy powód, by żyć, ludzka egzystencja nabiera wtedy większego sensu. W tenże oto sposób wielu z nas unika codziennego pytania milionów ludzi, pytania: „Po co żyć?”. Jesteśmy młodzi i można by z góry założyć, że wiele przed nami, że nie podjęliśmy jeszcze żadnych ważniejszych decyzji w swoim życiu. Jest to jednak błędne wrażenie. Wybraliśmy się do konkretnej szkoły, jaką jest technikum — co za tym idzie, wybraliśmy rok dłuższy tok nauczania, aby mieć w ręce zawód, kwalifikacje. Już ten fakt sam przez się mówi, że podjęliśmy dosyć istotną decyzję.

Pędząc przez życie, w pogoni za marzeniami, często bagatelizujemy pojedyncze decyzje i wydarzenia, które, kumulując się w całość, potrafią przynieść ogromne zmiany. Nie zawsze te zmiany będą złe, nie zawsze będą też dobre. W zasadzie... Nikt nie wie, jakie one będą, do czasu, aż kiedyś wrócimy myślami do przeszłości. Konsternacja dopada nas najczęściej po miesiącach, latach, a może i niekiedy dekadach od podjęcia konkretnych decyzji, z których skutkami mamy do czynienia na co dzień.

Jak więc żyć? Jak nie bać się podejmować decyzji, które skutkować mogą czymś mniej pozytywnym, aniżeli byśmy tego oczekiwali w przyszłości? Odpowiedź jest prostsza, niż wam się wydaje. Żyj po swojemu. Nie żałuj chwili. Nie pastw się nad błędami, nie rozpaczaj. Żyj z uśmiechem, wiedząc, że wszystko, co zrobisz, będzie zgodne z tobą samym.



Galaktyczne powieści

- odcinek 1 - „Księżycy”

Amsia



Dlaczego Księżyc zmienia kolor?

Jak wiecie, jedynym naturalnym satelitą Ziemi jest Księżyc. Większość z nas, wpatrując się wieczorem w niebo, przy okazji spogląda na Księżyc - możemy wówczas zauważyć, iż czasami zmienia on swoją barwę. Dlaczego zmienia swój kolor? Odpowiemy sobie na to pytanie w tym artykule.

Kolor Księżyca jest zawsze ten sam, ze względu na posiadany magnez, krzem, żelazo i inne minerały. Choć jego powierzchnia ma zawsze tę samą barwę, zdarzają się takie noce, kiedy wydaje się mieć inny odcień. Dzieje się to z wielu powodów, które rozpatrzmy poniżej.

Warto przypomnieć - Księżyc świeci na zasadzie odbicia światła Słońca, dzięki temu jest ono widoczne na Ziemi. Fale świetlne muszą pokonać niemały dystans, a atmosfera kosmiczna nie jest w pełni czysta (składa się z wielu różnych gazów) i przez to rozprasza te fale.

To, w jaki sposób widzimy Srebrny Glob, zależy od fali świetlnej docierającej do naszych oczu, a światło może się rozproszyć bądź zmieniać ze względu na np. zanieczyszczenia powietrza lub położenie Księżyca w danym momencie.

Czerwone lub różowawe zabarwienie naszego satelity nazywamy również „Krwawym Księżycem”. Jest to tak naprawdę zjawisko całkowitego zaćmienia Księżyca - nasza planeta jest pomiędzy nim, a Słońcem, przez co blokuje większość światła bijącego z gwiazdy. Światło o krótkiej fali, takie jak niebieskie, rozprasza się zanim do nas dotrze - jedyną docierającą do Ziemi falą to te o kolorze czerwonym.

Żółte lub pomarańczowe zabarwienie Księżyca zwykle można zauważyć w okolicach późnego lata lub wczesnej jesieni. Powstaje ono poprzez bezpośrednie padanie światła słonecznego na Srebrny Glob, który przyjmuje większy zakres fal, przez co ma jaśniejszy odcień.

Niebieski kolor Księżyca, to tzw. superpełnia (druga pełnia w ciągu miesiąca). To rzadkie zjawisko, występujące raz na kilka lat (ostatni raz ujrane w sierpniu 2021 roku). Jest to najczęściej spowodowane przez mgłę cząsteczek występującą w naszej atmosferze.